

## Krzysztof Dorosz: Samotność, cóż po ludziach...

Uwalnianie się od więzów kultury, tradycji czy wspólnoty nieraz prowadzi nie do życia pełnego, lecz ułomnego, porażonego dotkliwą samotnością, którą liczni publicyści określają dziś mianem epidemii – pisze Krzysztof Dorosz w liście do prof. Bartosza Jastrzębskiego.

*Rojeniami karmione nasze serce  
Zamknęło się i bije dziś brutalnie*  
W. B. Yeats

Drogi Bartku,

Dawno temu, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy jeszcze mieszkałem w Londynie, ale często bywałem w Polsce, pewien mój warszawski znajomy skrytykował jeden z moich esejów, zarzucając mi, że zupełnie nie rozumiem demokracji. Przecież demokracja – zapałem twierdził mój adwersarz – polega na twórczym ścieraniu się całkowicie przeciwstawnych sobie żywiołów, które niczym siły światła i ciemności nie mają ze sobą nic wspólnego. Ponieważ był bardzo pewien siebie i mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu, nie podjąłem dyskusji. Biedaku – pomyślałem sobie w duchu – przecież ty nie o demokracji mówisz, ale o wojnie domowej. Bez fundamentalnej wspólnoty wartości demokracja skazana jest na przemoc i śmierć.

Toteż po stokroć miał rację cytowany przez Ciebie św. Jan Paweł II, kiedy w encyklice *Centesimus annus* pisał, że „demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”. Bez wartości – dodajmy – które legły u podstaw wspólnego życia oraz elementarnych wartości etycznych, pozwalających odróżnić zło od dobra. Tymczasem w liberalnym świecie dzisiejszej kultury zachodniej o wspólne wartości coraz trudniej. Wartości należą wszak do sfery prywatnej, której przysługuje daleko posunięta suwerenność. Liberalizm ma ludzkie istoty za autonomiczne jednostki, obdarzone szeregiem praw i zdolne do twórczej autokreacji. Dlatego właśnie, szukając zaspokojenia własnych potrzeb i marzeń, winny zrzucić z siebie pęta natury, kultury i tradycji. A ponieważ wpisana w liberalizm pogoń za indywidualną wolnością i bezpieczeństwem nieraz pomija troskę o pragnienia i potrzeby innych, współczesny człowiek coraz chętniej wyzwała się z międzyludzkich relacji i związków, z przynależności do miejsca, a nawet z własnej tożsamości. I tak powoli zanikają w naszej cywilizacji dotychczasowe miary ludzkiego współżycia – kulturę toczy choroba bezsensu, rodzinne więzy tracą wartość, związki z przeszłością stają się coraz słabsze, wrażliwość na wspólne dobro coraz bardziej stępiona.

Człowiek liberalny, który usuwa z pola widzenia wszelki autorytet, jest do tego stopnia przejęty, by nie powiedzieć opętany, pragnieniem własnej wolności, że niemal wszędzie dostrzega formy opresji i zniewolenia. Chce być sobą i tylko sobą. Sobą? Ale co to właściwie znaczy? Takim, jakim sobie marzy i życzy? Tworem własnej niczym nieskrępowanej kreacji? Zwłaszcza gdy własna natura okazuje się kalejdoskopem zmiennych cech i predyspozycji, które jakoby można dowolnie kształtować? Przez dwadzieścia lat był kobietą, teraz

*Bez fundamentalnej  
wspólnoty wartości  
demokracja skazana jest na  
przemoc i śmierć. Tymczasem  
w liberalnym świecie  
dzisiejszej kultury zachodniej  
o wspólne wartości coraz  
trudniej*

postanawia zostać  
mężczyzną; przez  
dwadzieścia lat był  
idealistą, walczącym  
o dobro ludzkości,  
teraz kusi go życie  
seryjnego mordercy.  
Cudowna i  
nieograniczona  
wolność wyboru?

Tym bardziej  
nieograniczona, im mniej przeszkód stawia swoim mieszkańcom  
dzisiejszy płynny świat. Płynny, a zarazem znieruchomiały w  
bezwładzie myśli i skostniałych rojeniach. Dlatego coraz częściej nadaj  
ton „wydrażeni ludzie”, bezlitośnie sportretowani w słynnym wierszu T.  
S. Eliota pod tym właśnie tytułem. Ludzie „Bez formy, bez barwy, bez  
siły,/ Zastygli w bezruchu, w pół gestu”[1]. Jakżeż bowiem często  
pragnienie wolności żyjącego w tym świecie płynnego człowieka kryje  
wewnętrzną pustkę i dojmujący brak duchowego ośrodka. Zamknięty  
na świat niematerialnych wartości, staje się ów człowiek „domem  
rozdwojonym w sobie”. Staje się nim tym łatwiej, im bardziej zgodnie  
liberałowie, choć różniący się w poglądach na temat swobód  
gospodarczych i roli rządu, głoszą pogląd, że antropologiczne, moralne  
i metafizyczne założenia stanowią warunek wolności i pokoju tylko  
wtedy, gdy są niepokażne i wątpliwe[2]. Czyli kiedy ich prawie nie ma.

Ponieważ wszystko jest względne, ponieważ nie istnieje wyższe dobro,  
które wskazałoby nam hierarchię wartości, najrozmaitsze ludzkie  
impulsy i marzenia mogą sobie rościć prawo do spełnienia. Temu

prawu – pisze James Kalb, amerykański prawnik i politolog – należy się w liberalnym społeczeństwie najwyższa lojalność, która góruje nad wszelkimi innymi zobowiązaniami człowieka. „Dlatego też zyskuje ona quasi-religijną interpretację, która uświęca jednostkowe ludzkie uczucia i pragnienia jako źródło i cel wszelkich wartości”[3]. Jednak należącej ludziom wolności i równości – pisze Kalb – brak treści i celu. Prawie nikt nie pyta: wolność ku czemu, równość pod jakim względem? Kariery współzawodniczą z innymi karierami, a rockowa muzyka ze spokojem i ciszą. Prywatne zachcianki takie jak marihuana, alkohol czy cudzołóstwo mają społeczne konsekwencje, które obciążają innych ludzi. Komu i czemu w takim razie przysługuje wolność i równość, co zaś winno być obłożone zakazem? Nie ma na to pytanie odpowiedzi, skoro wyższe dobro i hierarchia wartości poszły do lamusa. Rozstrzygnięcia jednak są konieczne, więc decyzje podejmuje się arbitralnie. W rezultacie liberalizm sam tworzy definicje dobra i zła i staje się dyktatorski[4].

Zostawmy jednak na boku dyktatorskie zapędy liberalizmu objawiające się dzisiaj najczęściej poprawnością polityczną i powróćmy do współczesnego człowieka spragnionego wyzwolenia z wszelkich ograniczeń ludzkiej kondycji. Roi sobie, że jest samowystarczalny, że realizacja jego marzeń i pragnień przyniesie mu spełnienie i szczęście. Tymczasem uwalnianie się od więzów kultury, tradycji czy wspólnoty nieraz prowadzi nie do życia pełnego, lecz ułomnego, porażonego dotkliwą samotnością, którą liczni publicyści określają dziś mianem epidemii. „Liberalizm jest samotnością” – głosi Christine Emba w „Washington Post”, omawiając książkę Patricka Deneena pod tytułem *Why Liberalism Failed (Dlaczego liberalizm upadł)*. „Epoka samotności nas zabija” – pisze związany z liberalno-lewicowym dziennikiem „The Guardian” George Monbiot, polemizując z Tomaszem Hobbesem, ponoć jednym z „ojców” liberalizmu. „Samotność jest produktem

ubocznym liberalnego porządku społecznego” – stwierdza publicysta międzynarodowego, anglojęzycznego wydania katolickiego czasopisma „La Croix”. A rok temu rząd brytyjski mianował panią Tracey Crouch pierwszym w historii ministrem do spraw samotności.

*Współczesny człowiek roi  
sobie, że jest  
samowystarczalny, że  
realizacja jego marzeń i  
pragnień przyniesie mu  
spełnienie i szczęście.*

Nieraz pisano, że samotność jest rezultatem rewolucji przemysłowej, która wyrwała ludzi z niejednej otuliny życiowej i trwale wykorzeniła.

Stwierdzano, że

nadeszła wraz z rozwojem technologii, która pozwala nam na uniezależnienie się od innych i życie we własnym świecie. Wreszcie zobaczono w niej nieuchronną konsekwencję liberalnego porządku społecznego. Lecz czy w samotność wtrąciły nas tylko cywilizacyjne przemiany i wstrząsy? Nie, nie tylko. Człowiek nie jest przecież wyłącznie „zwierzęciem politycznym” czy emocjonalną istotą, która potrzebuje bliskości innych. Jest również *homo religiosus*. „Jakżeż ludzie mogą szukać i znaleźć braci i siostry pośród swoich bliźnich – napisał Karl Barth w liczącej tysiące stron *Dogmatyce kościelnej* – jeżeli nie chcą, by Bóg był ich ojcem? Nieuchronnym rezultatem braku łączności z pionowym wymiarem życia będzie brak łączności i samotność w wymiarze poziomym. Bez uznania Boga nie powstanie ani sensowna bliskość między ludźmi ani autentyczna współpraca czy autentyczne współczucie, ani też dzielona z innymi prawdziwa radość, ani rzeczywista wspólnota”[5].

Lecz ludzka samotność nie ogranicza się do osób duchowo i fizycznie wykorzenionych, ofiar rozbitych związków i wspólnot. Oprócz samotności, która jest skutkiem zamknięcia ludzkiej duszy przed rzeczywistością ostateczną, istnieje także samotność, która łączy i spaja człowieka z całym stworzeniem. Tyle że ta samotność jest nie przyczyną, ale warunkiem powstawania duchowych więzi. Można ją znaleźć w chrześcijańskich czy buddyjskich klasztorach, wszędzie tam, gdzie człowiek modli się i medytuje w ciszy i skupieniu.

„Pewna doza samotności i milczenia oraz praktyka tradycyjnych ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa – pisze Thomas Keating, zmarły niedawno mnich Zakonu Trapistów, znany nauczyciel „modlitwy głębi” – zmniejsza zalew rozprasających bodźców, które tylko utwierdzają nasz spaczony ogląd samych siebie i świata. Klasztor kontemplacyjny jest widowym znakiem wspólnego wszystkim ludziom poszukiwania wewnętrznego świata duchowego, całości życia oraz tego, co w ludzkich wartościach najgłębsze. Ostatecznym celem zakonnego życia jest doświadczenie jedności z każdym człowiekiem i ponoszenie konsekwencji tego przeżycia”[6]. Tym samym Keating, jak zresztą wielu dawnych i współczesnych mistrzów życia duchowego, podkreśla, że nie chodzi tu wcale o ucieczkę ze świata. Przeciwnie. W modlitwie, w klasztorze, w kontemplacji samotność poszukiwaczy jedności staje naprzeciw samotności czcicieli własnego ego, zmaga się z nią, unieszkodliwia i wreszcie wchłania w siebie.

Podobnie jest z byciem sobą. Sobą i tylko sobą pragną być wyznawcy wolności oddartej z prawdy, dobra i piękna, lecz to pragnienie wcale nie ogranicza się do ich świata. Sobą i tylko sobą chcą być również wędrowcy przemierzający duchowe ścieżki. Dlaczego? Ponieważ ci

*W modlitwie, w klasztorze, w  
kontemplacji samotność  
poszukiwaczy jedności staje  
naprzeciw samotności  
czcicieli własnego ego, zмага  
się z nią, unieszkodliwia i  
wreszcie wchłania w siebie*

wędrowcy swoim  
szóstym zmysłem  
doskonale czują to,  
co powiedział rabbi  
Zusja przed śmiercią:  
„W przyszłym  
świecie nie zapytają  
mnie: «Dlaczego nie  
byłeś

Mojżeszem?» Zapytają mnie: «Dlaczego nie byłeś Zusją?»»[7]. Poczucie konieczności bycia sobą pojawia się w różnych religiach i kulturach.

„Zostań, kim jesteś” – polecał Pindar w VI wieku p.n.e. „Bądź tym, kim jesteś i zrób to dobrze” – pouczał św. Franciszek Salezy. „Nie być sobą, jakim Bóg cię stworzył – ostrzegał Kierkegaard – to rozpacz”.

Natomiast w naszym liberalnym świecie reklamy i filmy, popularne powieści i celebryci prześcigają się, by nas przekonywać do samych siebie. „Masz być autentyczny” – krzyczą. „Bądź tylko sobą” – wołają. Sobą, czyli kim? – powtórzmy już raz postawione pytanie. Pozostaje ono na ogół bez rzetelnej odpowiedzi bądź prowokuje liczne odpowiedzi pełne górnolotnego patosu i psychobełkotu. „Życie w obłąkanych czasach – powiedział Walker Percy, amerykański lekarz i pisarz – bardziej obłąkanych niż zazwyczaj, ponieważ mimo wielkich postępów nauki i techniki człowiek nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest i co czyni”. Ha, jeśli ów obdarzony literackim talentem medyk ma rację, trzeba zapytać o przyczyny tego kolosalnego rozdziewu między tworzonymi z rozmachem wyobrażeniami o wielkości i wolności współczesnego człowieka a jego rzeczywistym zagubieniem i małością.

*Trzeba zapytać o przyczyny  
tego kolosalnego rozziwu  
między tworzonymi z  
rozmachem wyobrażeniami o  
wielkości i wolności  
współczesnego człowieka a  
jego rzeczywistym  
zagubieniem i małością*

Usiłując  
odpowiedzieć na to  
pytanie, ucieknijmy  
się do pomocy  
cytowanego w  
poprzednim liście  
Erica Voegelina,  
który pisał, że już w  
XVIII wieku  
„chrześcijańska  
wiara w  
transcendentną

doskonałość ludzkiej istoty została wypaczona i przekształcona w ideę immanentnej perfekcji osiągananej przez działanie człowieka”[8]. Wyparłszy ze swojej duszy wrażliwość rzeczywistości duchowej, człowiek zamienił miłość Boga na miłość własną, obdarzył siebie atrybutami nadzwyczajnej mocy i wyniósł na piedestał swoje własne pragnienia, sięgając po indywidualną suwerenność i niezbywalne prawo autokreacji. Usunąwszy zaś ze swego pola widzenia rzeczywistość leżącą poza nim samym, począł tworzyć niezliczone warianty „drugiej rzeczywistości”, jak ją – w ślad za Robertem Musilem – nazywa Voegelin. Ta druga rzeczywistość, płynąca z wyobraźni podsycanej przemożnym pragnieniem zagłuszenia otwartej na ziemię i niebiosa rzeczywistości pierwszej, jest głównym źródłem rebelii współczesnego człowieka przeciwko realnym i wydumanym represjom kultury i ograniczeniom natury.

Z tej to rebelii powstaje niezliczona ilość ideologii, zarówno morderczych i totalitarnych, takich jak komunizm czy narodowy socjalizm, lecz również pomniejszych: politycznych i zawodowych,

grupowych i jednostkowych, nawet pseudonaukowych. Te drugie mogą wydawać się mało groźne, jednak wszystkie są w większym lub mniejszym stopniu niszczycielskie. Wszystkie bowiem płyną z drugiej rzeczywistości, zatrutego owocu „egofanii” i jej mariażu z wolą mocy. Świadomie lub nieświadomie próbują zastąpić politykę, naukę, psychologię czy socjologię kryteriami eschatologicznymi. Te bowiem wdarły się do naszych umysłów tylnymi drzwiami i przywdziawszy kostium kryteriów pragmatycznych czy empirycznych przekonali większość zachodnich intelektualistów, że człowiek jest w stanie zupełnie sam budować swoją rzeczywistość.

Sam i w oparciu o własną wolę. Tymczasem płynąca z rozbudzonej „egofanii” wola mocy skutecznie przesłoniła klasyczny i chrześcijański sens woli. W tym dawnym ujęciu bowiem wola – *voluntas* – zawsze jest wolą racjonalnie ułożoną. A racjonalnie ułożona może być tylko wtedy, gdy sprzymierza się z rozumem i duchem. Kiedy zaś od nich się odrywa, nie mówimy już o woli w dawnym rozumieniu, lecz o *libido dominandi*. Sięgnijmy po wymowny przykład. Czy Adolf Hitler rzeczywiście był człowiekiem żelaznej i nieugiętej woli, jak głosiła legenda jeszcze za jego życia? Bynajmniej. Voegelin zdecydowanie podkreśla, że wola Führera, całkowicie oderwana od rozumu i ducha, była ułomna i uwięziona w okowach duchowej patologii[9]. Łatwo więc tworzyła ową „drugą rzeczywistość” zbudowaną z fałszywych obrazów i rojeń, które rościły sobie prawo do reprezentowania rzeczywistości właściwej. Słowem, jak powiada cytowany na początku tego listu Yeats, karmione rojeniami serce musi bić brutalnie.

Odpowiednikiem rojeń i „drugiej rzeczywistości” w wymiarze indywidualnym jest fałszywe ludzkie „ja” zbudowane z toksycznego osadu niewłaściwie pojmowanej walki o przeżycie, z kompleksu ofiary,

*Co zatem robić? Wydobyć z chrześcijańskiej tradycji prawdziwe „ja” i zbudować wokół niego intelektualną, moralną i emocjonalną przestrzeń, o którą rozbijają się liberalne marzenia o samorealizacji*

egoizmu i egocentryzmu, pychy i wielu innych czynników odrywających nas od rzeczywistości duchowej i od naszych bliźnich. Wiele o tym mówi wspomniany już trapezista Thomas Keating, który wyraźnie daje do

zrozumienia, że „modlitwa głębi”, która umożliwia nam otwarcie na obecność Boga, powoli i stopniowo uwalnia nas od całych pokładów fałszywego „ja”.

Ta kontemplacyjna modlitwa to istotna droga wiodąca do pokonania samotności i zagubienia współczesnego człowieka, przewyciężenia ślepego dążenia do bycia sobą, duchowej pustki, egzystencjalnej nijakości, wynoszenia na społeczny piedestał własnych zachcianek i instynktów, wreszcie do wyzwolenia z quasi-religijnej aury otaczającej liberalizm. Kto wie, może promieniowanie tej modlitwy, mimo że nigdy nie będzie masowa, przyczyni się do odzyskania intuicji rzeczywistych autorytetów?

Pytasz, Bartku, co moglibyśmy zrobić z tą demokracją bez wartości, z zadufanym w sobie, lecz ślepyim liberalizmem. Pytasz, „jakie rozwiązania ustrojowe, adekwatne zarówno do naszej wolności, jak i do wszelkich niebezpieczeństw, które ona niesie, moglibyśmy

zastosować?” Wyznam Ci, że nie tylko nie wiem, ale czuję się bezradny. Czyż nie żyjemy w epoce postprawdy i postdobra, w której króluje zasada „róbta co chceta”? Mam więc wrażenie, że na nowe rozwiązania ustrojowe jeszcze za wcześnie. Co zatem robić? Sam sugerujesz, choć pełen wątpliwości, by pisać, uczyć, tłumaczyć. Na pewno. I samemu się uczyć. Wnikać głęboko w starożytne i średniowieczne pojęcie wolności; nie rezygnować z niej wcale, lecz spróbować pójść za głosem św. Pawła, który w Liście do Galatów (Ga 5, 13) nazwał ją powołaniem człowieka i tak rozumianą wolność odważyć się przeciwstawić bogom współczesnego liberalizmu.

I dążyć do bycia sobą. Wydobyć z chrześcijańskiej tradycji pojęcie prawdziwego „ja” i zbudować wokół niego intelektualną, moralną i emocjonalną przestrzeń, o którą w pył rozbijają się liberalne marzenia o samorealizacji. Wreszcie przez cichą modlitwę i medytację pokazać, że samotność nie musi prowadzić do zagubienia i beznadziei, lecz do tego, co w nas najgłębsze i co łączy nas z ludźmi, światem i Bogiem. Bo jak powiedział pewien mędrzec, samotność jest rozpaczą głupców, udręką łajdaków i radością dobrych.

Serdecznie pozdrawiam,

Krzysztof

\*\*\*

Przeczytaj odpowiedź Bartosza Jastrzębskiego.

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

#### VI część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Serce — najgłębsza istota człowieczeństwa

Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z  
Transcendencją

#### VII część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Epifania Boga w świecie

Bartosz Jastrzębski: Potrzeba nam serca rozumnego

#### VIII część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Wolność posłuszeństwa

Bartosz Jastrzębski: Wolność jest drogą ku Bogu

#### IX część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Twórcy rzeczywistości

Bartosz Jastrzębski: Liberalizm jako odrzucenie obiektywnej prawdy

\*\*\*

[1] Tłumaczenie A. Libery.

[2] Por. Ryszard Legutko, *What's Wrong with Liberalism?*, „Modern Age”, Winter 2008 - vol. 50, NO.1.

[3] Zob. James Kalb, *After Liberalism: Notes Towards Reconstruction*, „Intercollegiate Review”, Spring 2012, s. 24.

[4] Por. James Kalb, *ibid.*, s. 26.

[5] *Kirchliche Dogmatik* IV/2, EVZ-VERLAG Zürich 1964, s. 473-474.

[6] *The Heart of the World – A Spiritual Catechism*, Mowbray, London and Oxford 1983, s. 6.

[7] Martin Buber, *Opowieści chasydów*, tłum. Paweł Hertz, “W drodze”, Poznań 1989, s.157.

[8] *The Origins of Totalitarianism*, w: *Collected Works*, vol. 11, *Published Essays 1953-1965*, University of Missouri Press, Columbia and London 2000, s. 21.

[9] Por. *Hitler und die Deutschen*, Vilhelm Fink Verlag, München 2006,  
s. 107-108.